

WSPOMNIENIA FRANCISZKI CHAŁUBIŃSKIEJ  
PORUCZNIKA „TERESY” BATALIONÓW CHŁOPSKICH  
Z LAT 1939 -1945  
(Zapisane w 1968 r.)

Nie wiem, czy po tylu latach potrafię odtworzyć swoje przeżycia z czasów wojny, losy nauczycielki powiatu opoczyńskiego. Najcięższym moim przeżyciom towarzyszyła wiara w zwycięstwo nad faszyzmem i w niepodległość Polski, wiara w to, że ta Polska będzie suwerenna i naprawdę ludowa, że zapanuje w niej sprawiedliwość społeczna. W okresie wyborów w roku 1947 znalazłam się w szczególnej sytuacji: członek PSL, mąż w Armii Andersa nie wrócił jeszcze z Zachodu, brat w Ameryce, drugi aresztowany za działalność w PSL. Na domiar złego w czasie aresztowania brata zabrano przywieziony z moimi rzeczami zdemontowany aparat radiowy. W ślad za tym ukazało się w prasie oskarżenie, że brat mój jest na usługach wywiadu angielskiego, że znaleziono u niego stację nadawczo odbiorczą, a za mną zamknęły się drzwi Urzędu Bezpieczeństwa w Kutnie, ponieważ brat zeznał, że aparat ten przywiózł jego syn z moimi rzeczami. Nie wiem, co by się stało ze mną, gdyby śledztwa nie przeprowadzał człowiek, który mnie znał z powiatu opoczyńskiego, który spowodował zbadanie aparatu i stwierdzenie, że ten sprzęt, porzucony przez Niemców, był bezużyteczny, zniszczony. Dzięki temu zostałam uwolniona, a wkrótce również mój brat. Od tej pory jednak byłam ciągle na indeksie. Nie lepiej czuł się mój mąż, który w czerwcu 1948 roku wrócił z Zachodu i był uważany za obywatela drugiej czy trzeciej kategorii. Gdybym wstąpiła do partii, może łatwiej byłoby mi odwrócić złą opinię, ale ja tego zrobić nie mogłam. Wojna zastała mnie w jednej ze szkół opoczyńskich. Mój mąż, który pełnił obowiązki kierownika szkoły, uzupełniał te informacje. Z wiarą zapewniał, że Polska jest silna i odeprze atak wroga. Zmobilizowany w trzecim dniu wojny poszedł na dziewięcioletnią tułaczkę, nie wiedząc, że po klęsce wrześniowej przemierzy wiele krajów, przekroczy granice kontynentów, zatrzyma się dłuższy czas na pustyniach Afryki i Iraku, że będzie uczestnikiem walk o Monte Cassino. Zostałam sama w tej pustej chacie z małą córeczką. Pamiętam jednego wieczoru, 5 czy 6 września ludzie z mojej wsi z goryczą powiedzieli: „Wszyscy nas opuszczają”. Wtedy im powiedziałam, że ja ich nie opuszczę, że ja z nimi pozostanę. Nie przypuszczałam, że za kilka dni zostanę osamotniona, że ci ludzie, z którymi tak się czułam związana, mnie opuszczą, że zostanę w tej szkole sama, darzona nieufnością, uznana odpowiedzialną za wszelkie zło. Ogarnął mnie strach i wtedy, w środę szóstego września 1939 roku, opuściłam swój dom, o nie mogłam zostać w tym polu sama z dzieckiem, nie miałam, co robić. Radio zamilkło, zjawiali się różni ludzie, nie było bezpiecznie. Przez kilka dni tułałam się po wsi. Zmieszałam się z mieszkańcami wsi, by z nimi przeżyć tragedię narodową, by widzieć oszalałe tłumy uciekinierów zmęczonych, idących bez żadnego celu i w niewiadomym kierunku oraz utrudzonych żołnierzy upadających z pragnienia, głodu, często rannych. Po ochłonięciu z pierwszych wrażeń zaczęli szukać winnych tego, co się stało i naturalnie odpowiedzialny za wszystko uczynili Rząd, ale przeciętny opoczyński człowiek uważał, że Rząd to ci, którzy byli w Warszawie, a na wsi nauczyciel. Wszyscy tamci byli daleko – pozostał nauczyciel – na niego złożyli całą nienawiść. Mimo że nasze stosunki ze wsią były dobre, też nie uniknęłam tej straszliwej niechęci. Zostałam osamotniona, wśród ludzi nastawionych niechętnie, a nawet wrogo do mnie. Pamiętam to i dotąd jeszcze czuję, jak bolało. Dwudziestego piątego września wezwani zostaliśmy przez władze niemieckie na pierwszą powiatową konferencję. Otrzymaliśmy polecenie otwarcia szkół bez prawa nauczania historii i geografii. Kazano nam również złożyć książki z biblioteki szkolnej w gminie. Naturalnie oddane zostały tylko książki bezwartościowe i zniszczone. Przerwano wszelkie działania wojenne. Straszna, beznadziejna cisza. Całą nadzieję wiązało się z garstką żołnierzy

Hubala, resztką armii wrześniowej, przebywających w pobliskich lasach. Niestety, Niemcy, w maju 1940 roku, wykryli ich i strasznie zemścili się na mieszkańcach jednej wsi, która pomagała partyzantom. Mężczyzn wywieźli, a wieś spalili razem z kobietami i dziećmi. Hubala zabito. Był to ostatni epizod kampanii wrześniowej. Jedyna iskierka nadziei została stłumiona. Mąż mój był internowany na Węgrzech. W marcu 1941 roku nauka została przerwana na trzy miesiące, gdyż szkołę zajęli na kwatery Niemcy jadący na Wschód. Ja z koleżanką, córką i siostrzenicą wysiedloną z Kutnowskiego zajmowałyśmy jeden pokój klasy oraz drugi pokój, a nawet kuchnię zajmowali Niemcy. Żołnierze Wehrmachtu byli inni od gestapowców czy esesmanów. W czasie tych trzech miesięcy nie zrobili nam żadnej krzywdy, ale ani na chwilę nie zapomnieliśmy, że mamy do czynienia z wrogiem. Pamiętam, że moja sześciolatka córka, chociaż była spragniona słodczy, nie wzięła od Niemca cukierków, ciastek czy też pomarańczy i leżały one nietknięte w miejscu, gdzie Niemiec je położył. Wreszcie nastąpiła odwilż, zaczęła się załamywać niemiecka potęga na Wschodzie. Zaczynała się budzić nadzieja, lasy spalskie i kieleckie zaroily się od partyzantów. Z nadzieją wzrastała chęć czynu. Na wiosnę 1942 roku, dnia 1 maja, w moim domu, została zorganizowana Powiatowa Tajna komisja Oświatowa (TON). Niedługo nastał naprawdę sądny dzień. Aresztowano i brano z list i przypadku. Ludzie bronili się w heroiczny sposób. Nie wydali głosu zakopani w słomę, chociaż byli kluci bagnetami. Wielu ludzi uciekło na tak zwaną Diabłą Górę. Myśleli, że ocaleją, ale i tam Niemcy trafili. Miałam wtedy za zadanie dotrzeć do wielu punktów na spacyfikowanym terenie. Drogi od wsi do wsi były zupełnie puste, ludzie po „krwawej niedzieli” byli tak przestraszeni, że nie wychylali się prawie z domów. Mój dom stał się również przytułkiem dla ludzi „spalonych”. Atmosfera przy końcu roku 1944 stawała się bardzo ciężka. Czuło się dynamit pod nogami. Śmierć była codziennym druhem i była niestraszna. Kiedyś szłam do kolegi i słyszę płacz ludzi. Podchodzę i dowiaduję się, że jechali własowcy i tak bez powodu strzelali sobie do ludzi. Ofiary leżały na drodze. O godzinie piątej wieczorem miejscowa placówka oznajmiła mi przybycie partyzantów. Były to resztki oddziału Doliny rozbitego w Kampinosie po powstaniu, dwudziestu kawalerzystów ze swoim dowódcą. Niedługo zjawił się oddział na koniach. Była to piękna i straszna noc spędzona wspólnie przy dość suto zastawionym stole wigilijnym. To dwór z Kraśnicy przysłał gotową wieczerzę, nie zapominając nawet o małej choineczce. W naszych sercach gościły dwa sprzeczne uczucia: radość z drogich nam gości połączona ze strachem przed ewentualnymi następstwami, z lękiem już nie o siebie, bo człowiek miał już czas oswoić się z niebezpieczeństwem, ale o bliskich i mieszkańców wsi. Sześć kilometrów od nas, w Opocznie, było gestapo. Zdawałyśmy sobie jasno sprawę z odpowiedzialności, jaka na nas ciążyła. Przyjęcie lub nieprzyjęcie partyzantów na wigilię nie było od nas zależne, ale gdyby nawet tak było, czy miałby człowiek taką siłę, aby pokazać im drogę tam, skąd przyszli, do ciemnego, mroźnego lasu? Ci tułacze i nas siedmioro – odłamki czterech rodzin, jakież to było wzruszające. I ja, która zapomniałam modlitwy, modliłam się słowami pieśni śpiewanej przy maleńkiej choince umieszczonej na wigilijnym stole.

#### ŻYCIORYS FRANCISZKI CHAŁUBIŃSKIEJ

Franciszka Chałubińska (z domu Lewandowska) urodziła się 18 maja 1906 w Smolentach, w powiecie gostyńskim, w wielodzietnej rodzinie chłopskiej. W czasie wojny Franciszka Chałubińska (pseudonim „Teresa”) należała do AK, tajnego Stronnictwa Ludowego i Batalionów Chłopskich. Rozkazem Komendy Głównej Batalionów Chłopskich nr 5 Pers. z dnia 30 maja 1944 roku została awansowana do stopnia porucznika. Zachowało się zaświadczenie o tym fakcie podpisane w Warszawie w dn. 18 września przez Pełnomocnika Ruchu Ludowego, b. Szefa Sztabu KG BCH, Kazimierza Banacha i Komendanta Głównego BCH, Franciszka Kamińskiego. W październiku 1945 roku

ujawniła się w Komisji Rejestracyjnej byłych członków BCh w Łodzi (nr rej. 103). 15 września 1945 roku Franciszka Chałubińska przeniosła się do Szkoły Podstawowej nr 2 w Żychlinie, a od roku 1949 do Szkoły Podstawowej nr 1. W tych szkołach uczyła matematyki, fizyki i chemii. W roku 1959 przeniosła się do jedenastoletniej Ogólnokształcącej Szkoły w Żychlinie, gdzie objęła opiekę nad biblioteką szkolną. Po wojnie należała do PSL, a po jego likwidacji pozostała bezpartyjna.

W 1964 roku przeszła na emeryturę i pracowała dodatkowo na ½ etatu w Liceum Ogólnokształcącym w Żychlinie w charakterze bibliotekarki szkolnej. W listopadzie 1969 roku otrzymała w Belwederze Krzyż Kawalerski za swoją pracę nauczycielską i tajne nauczanie w czasie okupacji. Umarła w Klinice Wojskowej w Łodzi po nieudanej operacji mózgu w wieku 63 lat. Niecały miesiąc później zmarł jej mąż w Szpitalu w Kaliszu. Pochowani zostali na Cmentarzu Komunalnym w Żychlinie.

### **KOMENTARZ ANNY SZURCZAK, CÓRKI FRANCISZKI I JÓZEFA CHAŁUBIŃSKICH.**

Mama napisała wspomnienia na moją prośbę około roku 1967. Nie zdążyłam tych wspomnień z Mamą przedyskutować, nie żyje nikt, kto mógłby je uzupełnić czy coś wyjaśnić. Ojciec, także proszony przeze mnie o zapis swoich wspomnień, niestety ich nie zostawił, nie sam trud pisania stał na przeszkodzie, ale – jak sądzę – niemożność opisanego faktów, które nie były jeszcze uznane za cenzuralne. W tym czasie szczery zapis losów i przeżyć żołnierza Brygady Karpackiej i „andersowca” był niemożliwy. Wiem, że Ojciec sporo opowiadał o swoich losach młodzieży w Liceum w Żychlinie, gdzie był nauczycielem. Jego pogrzeb w styczniu 1970 roku był pogrzebem bohatera, „kawalera Gwiazdy Afryki” i „Gwiazdy Italii”, uczestnika wojny 1939 -1945, nauczyciela Liceum Ogólnokształcącego w Żychlinie, jak głosiły ręcznie napisane wielkie nekrologi, rozwieszone w mieście, które powstały bez mojej wiedzy. Nie było mnie wówczas w Żychlinie, nie znałam uczniów ani oni mnie. Męska młodzież Liceum szła w kondukcje w niebieskich beretach i mimo wielkiego mrozu (-26) chłopcy nieśli trumnę ponad kilometr z kościoła na cmentarz, a karawan jechał pusty. Sądzę, że Mama również stosowała autocenzurę ze względu na bezpieczeństwo swoje, nasze i ludzi, o których pisała. Około roku 1968 sytuacja polityczna była bardzo mroczna, rodzice żyli przez wiele lat, szczególnie do roku 1956, z perspektywą rewizji i aresztowania. Wspomnienia Mamy są pełne bólu, gorzkości, rozczarowania. Najważniejsze fakty z okresu wojny były przemilczane, do 1956 roku enigmatycznie mówiono o „ruchu oporu”, wskazywano tylko pojedyncze przykłady walki z wrogiem AL i GL. AK, z którym BCh było skonfederowane, nazywano „zapłutym karłem reakcji”, konspiratorów i partyzantów więziono, katowano, skazywano na śmierć lub wysyłano do łagrów w Związku Radzieckim. Rodzice i tak mieli wiele szczęścia. Ich i moje losy mogły się w Polsce Ludowej potoczyć dużo gorzej, nawet bardzo źle, choćby z powodu tej radiostacji, która rzeczywiście była przewieziona do Jurkowa razem z naszymi rzeczami. Dobrze ją pamiętam, bawiłam się przy niej, bo miała czerwone druciki, bawiłam się też także łuskami od naboju, innych zabawek nie miałam. Ciocia Natalia postawiła sobie tę radiostację w pokoju, na niej położyła serwetkę, a na serwetce doniczkę. Myślę, że sprawa ta przerosła kompetencje UB w Kutnie i chociaż informacja do gazet o rodzeństwie szpiegów już poszła. Ojciec był wzięty do niewoli niemieckiej pod Stanisławowem. Przysyłał piękne kartki z nagłówkami „Najukochańsza Fredziu!”, „Najukochańsza Córeczko!”. Tata uciekł z obozu, co nie było takie proste, niektórzy w węgierskich oflagach przeżyli do roku 1945. Przez Jugosławię, Grecję Ojciec dotarł do Syrii, bo Francja, gdzie organizowało się polskie wojsko. W Syrii znalazł się w Brygadzie Karpackiej generała Władysława Kopańskiego, następnie był w Palestynie, Egipcie, Iraku, Libanie, Włoszech i Anglii. My już o tym nic nie wiedziałyśmy. Dostałyśmy ze trzy paczki z rodzynkami i migdałami z Ankary od Tureckiego Półksiężycy. Był to znak, że Tata żyje. Wreszcie jesienią 1945 roku

mama otrzymała pracę w szkole powszechnej w Żychlinie, początkowo bez mieszkania. Nasz niewielki dobytek został przewieziony ciężarówką, którą załatwił nam Wujek Janek. Zatrzymałyśmy się u Cioci Hani w Jurkowie. Mama chodziła na piechotę do pracy w Żychlinie, ja jakiś czas nie chodziłam do szkoły, bo to było za daleko, ponad 10 km w obie strony, poza tym pewnie nie miałam w czym. Później Mama dostała mały pokój, z kuchnią na poddaszu w Żychlinie na ul. Pierackiego (dziś 1Maja), naprzeciwko szkoły, do której zaczęłam chodzić chyba w grudniu.

Początkowo żyłyśmy w wielkim ubóstwie. Nie miałam ubrań ani butów. W czerwcu 1948 Ojciec powrócił z Anglii. Przywiózł trochę materiałów na ubrania, nylon ze spadochronu i skóry na buty, co bardzo podreperowało naszą sytuację życiową i samopoczucie. W czerwcu 1948 roku powitałyśmy Tatę na dworcu w Żychlinie. Nie wiem na pewno, ale chyba był w bateldresie, czyli angielskim mundurze z naszywką na rękawie „Poland”.

Najpiękniejszym momentem w moim okupacyjnym życiu była Wigilia 1944 roku spędzona razem z oddziałem kawalerzystów Doliny (Adolfa Pilcha) i z Nim samym. Partyzanci w polskich mundurach wydawali mi się jak z bajki, rycerscy i piękni, a przecież piękni, a nawet czyści być nie mogli, skoro ukrywali się w lasach lub zajmowali jakąś wieś na jedną noc i cały czas czuwali. Spali nie rozbierając się, w każdej chwili gotowi do ucieczki lub do podjęcia walki. Wigilia była bardzo udana, chociaż w klasie musiało się zmieścić dwudziestu partyzantów i siedmioro domowników.

Ciocia powtarzała mi: „Zapamiętaj dzisiejszy wieczór na całe życie!”. Nie potrzebowała, sama rozumiałam.

Śpiewaliśmy partyzancką pieśń – modlitwę:

O Panie, który jesteś w niebie,  
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń.  
Dziś z puszczy wołamy do Ciebie  
O polski dach i polską broń.  
O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj,  
Do wolnej Polski nam powrócić daj!  
By stał się twierdzą naszej siły  
O Boże....

**Na cmentarzu Żychlinie jest skromny grób z piaskowca z napisami:**

Ś. P. JÓZEF CHAŁUBIŃSKI 1903 – 1970  
nauczyciel liceum  
uczestnik walk  
w Afryce i Włoszech w latach 1939 -1945

FRANCISZKA CHAŁUBIŃSKA 1906 – 1969  
nauczycielka  
organizator podziemnej oświaty  
członek AK i BCH  
NON OMNIS MORIAR

**Wspomnienia Pani Anna Szurczak Chałubińska**

**córka Franciszki Chałubińskiej.**